



## Mirosław Derecki (M.D.) EKRAN I WIDZ: „GANDHI”

Jeszcze kilka miesięcy temu, podczas „Konfrontacji”, oglądaliśmy ten film przede wszystkim jako oszałamiający rozmachem oraz skalą talentu reżyserskiego i aktorskiego, fresk biograficzny, osadzony w epoce, która coraz konsekwentniej rozmywa się we mgle zapomnienia, odchodzi w przeszłość. Mahatma Gandhi, ów niewysoki, drobny starzec w ogromnych okularach, noszący za całe ubranie jedynie płachtę białego materiału, który sam dla siebie utkał, człowiek który w swym postępowaniu wyrzekł się jakichkolwiek form przemocy, a przecież... odniósł, w konsekwencji, oszałamiające zwycięstwo: zjednoczył wielomilionowy naród i wyprowadził go z kolonialnego ucisku - wydawał się z dzisiejszego punktu widzenia, postacią ze świata, który już dawno przestał egzystować. Zaś prawdy, które głosił - prawdami tyleż pięknymi i szlachetnymi, co nie mogącymi znaleźć zastosowania, we współczesnych nam realiach. Bezustanne dążenie do Prawdy, do Miłości...

W „Mojej autobiografii” Gandhi pisał: „By stanąć twarzą w twarz z Prawdą - wszechobecną i wszechprzekonującą - trzeba nosić w sobie miłość dla najmniejszego stworzenia, żyjącego na świecie. Dla człowieka, który do tego dąży, żadna dziedzina naszego życia nie może być obca. Oto dlaczego moja wiara w Prawdę popchnęła mnie w kierunku polityki”.

Jeszcze kilka miesięcy temu „Gandhi” jawił się tylko jako film „historyczny”. Dzisiaj, kiedy wchodzi na ekrany w szerokim rozpowszechnieniu, a świat wstrząśnięty jest zabójstwem Indiry Gandhi, dzieło Richarda Attenborougha jawi się w zupełnie innym, nowym wymiarze, wzbudza zupełnie nowe refleksje i skłania do nowych przemyśleń.

W 1948 r. Mahatma Gandhi został zastrzelony przez przeciwnika politycznego, w chwili gdy wmieszał się w wielotysięczny tłum, do którego miał zamiar przemówić. W trzydzieści sześć lat później kule fanatycznych Sikhów ugodziły śmiertelnie premiera Indirę Gandhi, przywódcę silnego, niezależnego państwa, gdy opuszczała progi swojej rezydencji. Wybuchły zamieszki, polata się krew, jak wówczas, po śmierci Gandhiego. Zwłoki Indiry Gandhi zostały spalone na błoniach Rojgatu w Delhi, nad rzeką Janną, w tym samym miejscu, gdzie przed laty zapalono stos pod ciałem Manatmy. Historia „powtórzyła się”. Prawda

kolejny raz została zaatakowana w sposób brutalny, zacierzowanie kolejny raz w historii usiłowało wziąć górę nad rozumem i postępem...

Może podobne problemy rysowały się przed artystyczną wyobraźnią Richarda Attenborougha: kiedy, dwadzieścia lat temu został opanowany przemożną, i z każdym rokiem narastającą, potrzebą nakręcenia filmu o życiu Mahatmy Gandhiego. Pewnie, już samo życie tego wyjątkowego, obdarzonego niezwykłą charyzmą człowieka, Hindusa wykształcanego w Anglii, wpisane w barwne tło wiktoriańskiego Imperium Brytyjskiego, przechodzącego nieubłaganie od okresu niebywalej świetności po całkowity upadek i klęskę - mogło stanowić nieodpartą zachętę do stworzenia wielkiego widowiska filmowego. Ale przecież w „Gandhim” widać wyraźnie, że Attenboroughowi nie chodziło jedynie o widowiskowość: on chciał stworzyć film dla szerokiej widowni, ale pogłębiony psychologicznie i filozoficznie. Miał to być również film z gatunku „political fiction”. I ku zdumieniu krytyki, właściwie wszystkie te elementy udało się zmieścić reżyserowi w sposób przekonujący i twórczy, w ramach jednego „widowiska filmowego”. Choć, oczywiście, niektóre sekwencje - jak na przykład ta rozgrywająca się już po śmierci Gandhiego, gdy dochodzi do krwawych bratobójczych walk między wyznawcami mahometanizmu i hinduizmu - rażą pewnymi artystycznymi uproszczeniami i schematyzmem.

Ale to tylko nieliczne chwile, kiedy opada w nas podziw wobec reżysera, który przecież do tej pory znany był jako twórca filmowych widowisk, takich jak typowo wojenna opowieść o Operacji Market-Garden - „O jeden most za daleko”, gdzie z niesłychaną łatwością i umiejętnością potrafił kierować scenami batalistycznymi, w których brały udział tysiące aktorów i statystów, czy - nie oglądany u nas - „Młody Winston”, o młodości Winstona Churchilla, będący - co by powiedzieć na temat, widowiskowości - filmem w znacznej mierze apoteozującym „dawne, piękne czasy” Imperium Brytyjskiego. W „Gandhim” Attenborough potrafił już zdobyć się na ukazanie błędów niesprawiedliwości oraz upadku Imperium: umiał też zdobyć się na najwyższe uznanie dla człowieka, który wszak w ogromnej mierze przyczynił do owego upadku. To wszystko razem wzięte każe zastanowić się nad fenomenem reżysera - jak to się zwykło określać - „z Bożej łaski”; przecież Richard Attenborough dał się poznać przede wszystkim jako głośny aktor, występujący od 1941 roku, twórca kilkudziesięciu znakomitych ról filmowych, m.in. w znanej tak dobrze w Polsce „Szajce z Lawendowego Wzgórza”. Aktor, a później także producent, który w żadnej szkole filmowej nie studiował, a kiedy wziął się za reżyserię, liczył już 46 lat! Stworzył dotychczas zaledwie cztery filmy, ale każdy z nich okazał się - w tej czy innej mierze - wielkim sukcesem...

Podobnie ma się rzecz z genialnym odtwórcą tytułowej roli Gandhiego, nie znanym dotychczas zupełnie w świecie filmowym, angielskim aktorem hinduskiego pochodzenia - Benem Kingsleyem. Trzydziestosiedmioletni Kingsley jest, doskonałym odtwórcą... rolę

szekspirowskich, członkiem słynnego zespołu Royal Shakespeare Company. Przed „Gandhim” zagrał tylko jeden jedyny raz w filmie. Obsadzenie go w tytułowej roli filmu Attenborougha wzbudziło początkowo zdecydowane protesty hinduskich współproducentów filmu. Chciano aby Gandhiego zagrał któryś z wybitnych światowych aktorów, Alec Guinness lub Dustin Hoffman. Na szczęście - reżyser postawił na swoim. I okazało się, że przy fenomenalnym talencie można - bez lat praktyki - zagrać wspaniale rolę „współczesną”  
A może po prostu Szekspir nigdy być „współczesny” nie przestał?

Bez genialnego reżysera-„dyletanta” nie powstałby ten film, tak jak nie wzniosłby się on na takie wyżyny sztuki bez kreacji aktora będącego filmowym „dyletantem”. Nagrodzony ośmioma „Oscarami”, filmowy fresk o życiu Mahatmy Gandhiego nie ujrzałby światła dziennego bez pracy i skali talentu scenarzysty Johna Brileya, którego powierzony mu temat początkowo... zupełnie nie interesował. Z biegiem czasu zaczęła go przecież coraz bardziej fascynować - jak wspomina w jednym z wywiadów - osobowość Gandhiego. Osobowość - jak pisze - „która zaczęła mnie osaczać. Odwaga, humanizm, humor, siła przekonywania – siła, która przysparzała mu uczniów i zwolenników wśród ludzi prostych i wykształconych. Powoli zacząłem sobie zdawać sprawę, że Gandhi nie był niepraktycznym idealistą. Jego idee kształtowały się wśród bolesnych doświadczeń, potwierdzone były niezwykłym, wspaniałym życiem. Wreszcie zacząłem pojmować obsesję Dickie (Attenborougha- M. D.) i dzielić ją wraz z nim. Zacząłem pisać „Gandhiego”. Pisać, aby pokazać człowieka zdeterminowanego, odważnego, świadomego, że w skomplikowanej ludzkiej naturze mimo wszystko przeważa dobro. Gandhi zdawał sobie sprawę, że w ludzkim sercu toczy się wojna między miłością i nienawiścią. I wierzył w jedno tylko zwycięstwo. Dał mi tę wiarę. Spróbowałem przekazać ją innym”.

I tyle refleksji na marginesie filmu „Gandhi”.

„Gandhi” – film który każdy musi obejrzeć!

Pierwodruk: „Kamena”, 1984, nr 25, s. 11.